

Wyznanie mojżeszowe

Henryk Vogler



Henryk Vogler

Wyznanie mojżeszowe

Wspomnienia z utraconego czasu

Wydawnictwo Austeria
Kraków · Budapeszt 2011

Spis treści

Bóg i piłka nożna	5
„Jutrzienka”	14
Tajemnice mózgu	21
Miłość szalona i nieodwzajemniona	30
Rachela wywołuje ducha	38
Droga w głąb	49
Piękne obłąkanie i wzniosłe kalectwo	60
Ucieczka z krainy nierzeczywistości	68
Prawo wielkich liczb	73
Adwokaci i artyści	81
Widmo krąży po Krakowie	84
Akademia wszelkiej scjencji pełna	94
Kabaret i rzeczywistość	102
Ciemne miejsca	109
Paragraf aryjski	117
Memento mori	124
Wszystkie nasze grzechy	127

Bóg i piłka nożna

Postanowiłem sięgnąć wspomnieniami raz jeszcze do wczesnej młodości, do lat dwudziestych i trzydziestych naszego wieku spędzonych w rodzinnym Krakowie aż do wybuchu wojny. Tym razem jednak chciałbym spojrzeć wstecz w tę głęboką już przeszłość pod specjalnym kątem widzenia. Ściślej mówiąc, dać próbkę przedstawienia pewnego tylko wycinka owej minionej dawno rzeczywistości. Być może stanowi ona jedynie jej margines, choć nie jestem tego całkowicie pewien, w miarę upływu czasu zdaje się, przynajmniej dla mnie, ogromnieć znaczenie owego marginesu, przedtem raczej uboczne.

Chodzi tu o temat żydowski i zapis świata widzianego od tej strony, jakby od mojej „strony Swanna”, mojego utraconego czasu. Ukaże się ona w perspektywie wyolbrzymionej, co zostanie z pewnością uznane za błąd w proporcjach. Ale jest to efekt zamierzony.

Zdaję sobie sprawę z wielu problemów, jakie takie podjęcie tego tematu pociąga za sobą, oraz z wynikających z tego trudności. Budzi on dziś wszędzie – może przede wszystkim w Polsce – szczególne emocje i wywołuje rozmaite, nieraz najbardziej ze sobą sprzeczne reakcje. Nadarzy mi się zapewne niejedna sposobność, aby próbować zrozumieć przyczyny tego, choć zrozumienie nie jest łatwe.

Naprzód jednak starajmy się poddać napływającej fali. Niech pociąga za sobą schwytanego trochę bezwolnie w jej toń. Może po raz pierwszy decyduję się zastosować coś w rodzaju *écriture automatique*. Nie wiem dobrze, od czego zacząć ani na czym skończyć. Zadanie ułatwia – a może utrudnia? – sytuacja, w jakiej się aktualnie znajduję. Piszę bowiem, tkwiąc w swoistym stanie nieważkości, na drugim końcu mego dotychczasowego świata, w oddaleniu od skomplikowanej i komplikującej się na początku 1990 roku rzeczywistości krajowej, w oddaleniu nie tylko geograficznym – gdyż przebywam czasowo w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej – ale także duchowym, odcięty od dokładniejszych informacji o owej rzeczywistości. A więc jest to trochę stan jak przy stworzeniu świata, mgławica, z której poczynają się wyłaniać niewyraźne jeszcze kontury.

Jest wczesny ranek i dziadek Berwald, ojciec mojej matki, przychodzi do nas na ulicę Floriańską, aby zabrać mnie z sobą do swojej żydowskiej dzielnicy miasta i wciągnąć w rytm nabożeństw odbywających się tam w małych bożniczkach. Mieściły się one w prywatnych domach, w podwórzach starych kamieniczek czynszowych przy ulicach Miodowej, Józefa i innych pobliskich, niezależnie od wielkich, odświeżonych miejsc modlitwy, takich jak Stara Bożnica przy ulicy Szerokiej, istotnie stara, gdyż pochodząca z xv wieku, jak bożnica Izaaka, bożnica przy ulicy Warszawera czy też tak zwana Synagoga Postępową, określana popularnie jako Tempel, na skrzyżowaniu ulic Miodowej i Podbrzezia.

Ta ostatnia nie przypominała w niczym innych przybytków o podobnym przeznaczeniu. Wierni wynajmujący tutaj miejsca na święta (miejsca modlitwy we wszystkich większych pomieszczeniach sakralnych były wynajmowane i numerowane, stanowiło to jedno z głównych źródeł ich utrzymania) składali się przeważnie z Żydów

tak zwanych asymilowanych, to znaczy nie ortodoksyjnych, lecz związanych na co dzień ze świecką kulturą polską.

Stąd pochodziła nazwa: Synagoga Postępowa. Miała ona z zewnątrz kształt niemal grecko-rzymskiej świątyni i taka pozostała do dzisiaj. Dlatego zapewne określano ją też jako Tempel, od łacińskiego *templum*, choć byli i tacy, którzy twierdzili, że nazwa ta pochodzi od niemieckiego słowa *das Tempel*, oznaczającego właśnie bożnicę.

Nie rozlegał się tu nigdy ów typowy dla wschodnich obrządków jazgot, gardłowe okrzyki nabrzmiałych namiętnością głosów, jakby usiłujących dotrzeć aż do samych niebios, ani nie widać było ekstazy kolebiących się ciał. Tutaj mężczyźni przestrzegali rytuałów niemal w ciszy, starając się wykazać opanowanie właściwe, zdawałoby się, cywilizacji Zachodu.

Szczególłą część składową odprawianych tu nabożeństw stanowiły kazania wygłaszane podczas bardziej uroczystych świąt przez rabiną, i to w języku polskim. Rabinem tym był dr Ozjasz Thon, wysoko ceniony nie tylko w środowisku żydowskim, ale i w życiu politycznym całego kraju. Wielokrotny poseł na Sejm i znakomity publicysta, w artykułach wstępnych drukowanych w krakowskim „Nowym Dzienniku” podejmował wnikliwie najistotniejsze problemy ówczesnej polskiej rzeczywistości. Wspomniane kazania obejmowały szeroki zakres spraw nie tylko religijnych i zachwycaly słuchaczy zarówno głębią ujęcia, jak i nienaganną polszczyzną. Toteż gromadziły zawsze tłumy skądinąd obojętnych na sprawy Boże i przychodzących wyłącznie dla tych kazań.

Ale dziadek mój omijał to miejsce i prowadził mnie uparcie – tak jak owego ranka rozpoczynającego niniejszą opowieść – z lekko pochylonym w prawo ramieniem (którą to cechę fizyczną odziedziczyłem po nim) do wymienionych uprzednio małych bożniczek. W nich chętniej gromadzili się najpobożniejsi Żydzi Kazimierza, choć nie

oznaczało to, że unikali innych, bardziej oficjalnych i bogatszych domów modlitwy. Sam dziadek miał stałe abonamentowe miejsce w tzw. *Kipersil*, bożnicy Kupa, mimo że mieściła się ona przy ulicy Warszauera, bocznej od ulicy Kupa, tej samej bożnicy, w której dziś mieści się magazyn surowców spółdzielni inwalidów.

Nazwa ulicy wywoływała ironiczne komentarze polskich mieszkańców tej żydowskiej dzielnicy, doszukujących się w słowie „kupa” wiadomego trywialnego znaczenia. Nie wiedziano, że wywodzi się ono z hebrajskiego *kupat*, czyli kasa, i świadczy o tym, że prawdopodobnie znajdowała się tu kiedyś żydowska instytucja ubezpieczeniowa, zwana podówczas Kasą Chorych, po hebrajsku *Kupat Cholim*.

Ale niezależnie od obrzędów odprawianych w owej *Kipersil* dziadek modlił się również we wspomnianych uprzednio niewielkich, bardziej intymnych bożniczkach. Zdaje się, że ci, którzy cześć Bogu pragnęli oddać w najgłębiej tradycyjny, zbliżony do ideału sposób – czuli się tu lepiej. Zaduch i hałas, natłok ciał cisnących się dokoła umieszczonego w środku stołu i poustawianych pod ścianami ław, liturgiczne zawodzenia, inicjowane przez wywoływanego do czytania Tory wiernego (co było wielkim zaszczytem) i podchwytywane potem chóralnie, fanatycznie radosny taniec dokoła stołu podczas święta Tory, tak zwany *Kufes* – wszystko to stwarzało tam nastrój zbiorowego ludowego uniesienia, poczucie wspólnoty, mistycznego niemal nawiedzenia, łączącego z sobą uczestników niewidzialnymi, ale nierozzerwalnymi więzami. Być może dziadek ciągnął mnie tam, swego pierwszego męskiego wnuka, w pedagogicznym pragnieniu i nadziei, że właśnie tą drogą spłynie na mnie łaska prawdziwej wiary.

Ten ranek – raz jeszcze do niego wracam – i ten dzień przypominam sobie dokładniej z dość niezwykłego powodu, z którego wysnuwa się jak z kłębka określony wątek. W owej bożniczce, mieszczącej się przy ulicy Brzozowej, modlił się wtedy wraz z innymi Sperling.

Mały, o czarnych, trochę kręconych włosach, był najznakomitszym w historii polskiej piłki nożnej lewoskrzydłowym słynnej „Cracovii”, w czasach, kiedy pozycje graczy w drużynie piłkarskiej były ściśle ustalone. Właśnie w 1921 roku „Cracovia” zdobyła w sposób bezapelacyjny mistrzostwo Polski w piłce nożnej w rozgrywkach nieprowadzonych wtedy jeszcze angielskim systemem ligowym. Byłem zapalonym entuzjastą tego klubu, niepokonanego przez przeszło dwa lata, zapalonym do tego stopnia, że dziś jeszcze znam na pamięć cały ówczesny skład jego pierwszej drużyny.

Bramki bronił Stefan Popiel, ziemianin ze starego szlacheckiego rodu, który niedługo potem popełnił samobójstwo. W obronie grali Ludwik Gintel, późniejszy architekt, jedyny, zdaje się, żyjący jeszcze członek drużyny, przebywający w Izraelu, i Stefan Fryc, specjalizujący się w zastawianiu pułapek off-side’owych (wówczas na pozycji spalonej znajdował się gracz mający przed sobą jednego przeciwnika, a nie niemający żadnego, jak obecnie), który zginął w powstaniu warszawskim. Pomoc stanowili zmarły niedawno Zdzisław Styczeń, urzędnik miejski, na boisku odznaczający się ostrą, bezpardonową zaciekłością i może dlatego nazywany „Zulu”, dalej Stanisław Ciekowski, późniejszy lekarz, elegancki w grze, oraz łysy Tadeusz Synowiec, nauczyciel, uparty w pojedynkach o piłkę, co zapewne dało mu przydomek „Żyła”. I wreszcie atak. Od prawej strony Stanisław Mielech, kapitan lub major Wojsk Polskich, który po zaprzestaniu czynnego uprawiania sportu zajął się jego teorią i był autorem kilku prac z tej dziedziny, następnie Bolesław Kotapka, robotnik, tego samego roku 1921, lub rok później, zamordowany w bójce w knajpie na rogu ulic Zwierzynieckiej i Powiśla. Na środku jeden z najbardziej legendarnych piłkarzy polskich, Józef Kałuża, nauczyciel, kapitan drużyny, kierujący atakiem w sposób tak precyzyjny, że wołano nań „majsterek”. Dalej Adam Kogut, również zawodowy oficer, poległy

w czasie wojny na obczyźnie. I wreszcie – urzędnik prywatny Leon Sperling, zwany przez widzów niemal pieszczotliwie „Muniu”, który potrafił misternym dryblingiem wymanewrować przeciwników, kończąc akcje celnym strzałem lub umożliwiając go współpartnerom. Zamordowany przez Niemców podczas okupacji w lwowskim getcie.

Z tym oto Sperlingiem, jednym z wymienionych jedenastu wspa-
niałych bohaterów marzeń i gorączkowych fantazji dziesięciolatka –
mogłem się teraz zetknąć osobiście. I to w jakich niezwykłych oko-
licznościach!

Była wtedy niedziela, na którą wyznaczono ważny, choć towarzy-
ski – ale wtedy każde spotkanie z sobą tych drużyn było ważne, ba,
święte – mecz „Cracovia”–„Wisła”. Modły w bożniczce przedłużały
się i Sperling był spóźniony. Modlący się obok niego kolega, mój wuj,
brat matki, Romek Berwald, o którym będzie za chwilę mowa nieco
obszerniej, pobiegł po dorożkę. Był to najszybszy środek lokomocji
w mieście, aut, w szczególności taksówek, się nie widywało, może
takie wówczas w Krakowie w ogóle jeszcze nie istniały? Do dorożki
wsiadł pospiesznie Sperling razem z moim wujem, który zabrał mnie
z sobą, zalecając dorożkarzowi jechać galopem na boisko „Wisły”,
gdzie mecz miał się odbyć.

I tu, w tej dorożce, stałem się świadkiem prawdziwego cudu, świę-
tej ceremonii Przeistoczenia. Tylko raz – w bardzo wiele lat później,
naturalnie już po wojnie – miałem ujrzeć podobne zjawisko.

Było to w teatrze w Paryżu, gdzie oglądałem występujący gościn-
nie Berliner Ensemble Bertolta Brechta. Grano *Żywot Galileusza*
tegoż autora. W pamięci pozostała mi z niezmierną wyrazistością
jedna scena. Scena ubierania papieża w strój liturgiczny, można rzec:
koronacyjny. Papieża grał aktor nazwiskiem Fuhrmann, niepozorny
fizycznie, wątły, o chudych, zapadłych ramionach i trochę jakby zde-
formowanej łysej czaszce. I oto zaczęła dziać się sprawa niezwykła,

prawie tajemnicza. W miarę nakładania na tę mizerną postać przepisowych szat pontyfikalnych przekształcała się ona i rosła. A kiedy na ostatek nałożono jej uroczyscie na głowę tiarę – nagle ukazała się zupełnie inna istota, ktoś potężny, olśniewający urodą, wielkością i boskością. Nastąpił Cud Przemienienia.

Właśnie coś w tym rodzaju dokonało się w dorożce między bożnicą a boiskiem piłkarskim. Sperling zdejmował poszczególne części swego cywilnego ubrania, spodnie, marynarkę, bieliznę i wkładał na siebie w nerwowym pośpiechu podawane mu przez mego wuja i przeze mnie elementy stroju sportowego, wydobywane z przygotowanej walizeczki: pończochy, buty futbolowe z kółkami, białe spodenki i wreszcie największą świętość, koszulkę w białoczerwone pasy. Godzina rozpoczęcia meczu mijała, należało być gotowym i dorożkarz, popędzany nawoływaniem, a także sam świadom ważności swej misji – mknął co koń wyskoczy.

Tak oto na moich oczach zwykły, mały Żydek przeobraził się w gigantyczną postać w homeryckiej niemal zbroi, kimże innym bowiem jak nie mitycznymi herosami z *Iliady* byli piłkarze, zwłaszcza piłkarze „Cracovii?” Wpadliśmy na stadion już parę minut po rozpoczęciu meczu, drużyna „Cracovii” wyszła do gry w dziesiątkę, bez swego lewoskrzydłowego, toteż kibice tej drużyny powitali radosnym krzykiem wbiegającego na boisko, choć tak spóźnionego. Dzięki temu zresztą mogłem tego dnia – wpuszczony nie bez pewnego, z racji takiego towarzystwa, szacunku na trybunę – oglądnąć całe spotkanie za darmo.

Zrozumiałem, że wśród dzieciarni i młodzieży żydowskiej, a także – jeżeli szło o starszych – mniej lub bardziej lewicujących, „Cracovia” cieszyła się specjalną sympatią jako klub, który przyjmował w swoje szeregi każdego chętnego, bez żadnych ograniczeń wyznaniowych czy narodowościowych. Oprócz wymienionych już Sperlin-

ga i Gintla dużą popularnością w Krakowie i w jego świątku sportowym cieszył się Józef Lustgarten, ongiś bramkarz pierwszej drużyny, potem znany sędzia piłkarski, a wreszcie – aż do wybuchu wojny i po jej zakończeniu, kiedy wrócił z zesłania w Związku Radzieckim do swego ukochanego miasta – energiczny działacz organów związkowych tego klubu. Wymieniłem tylko przykładowo najbardziej znane nazwiska, ale żydowskich graczy (Alfus, Grünberg) i działaczy „Cracovii” było więcej.

Inaczej rzecz przedstawiała się u jej wiecznej antagonistki „Wisły”. Kiedy w czasie jednego z meczów tej drużyny sędzia Rosenfeld za poważne przewinienie wykluczył z gry znakomitego piłkarza „Wisły” Henryka Reymana (kapitana, później majora, a w końcu podpułkownika Wojsk Polskich) – ten odmówił opuszczenia boiska, oświadczając, że żaden Żyd nie będzie mu rozkazywał. W rezultacie cała „Wisła” zeszła z placu gry i mecz nie został dokończony.

Obok tych dwóch drużyn piłkarskich ważną rolę w krakowskim sporcie pełniły wówczas (nie licząc pomniejszych klubów, takich jak „Korona”, „Zwierzyniecki Klub Sportowy” czy „Podgórze”, mających znaczenie dzielnicowe, lub czysto robotniczej „Legii”) dwie inne. Były to drużyny żydowskie „Jutrzenka” i „Makkabi”, między którymi trwały – nieco podobnie jak między tamtymi dwiema – głębokie animozje. Miały one społeczny, a nawet polityczny charakter, z którego dziesięcio- czy dwunastoletni chłopiec nie mógł sobie, naturalnie, zdawać sprawy i jego sympatie lub antypatie były tylko odbiciem sympatii czy też antypatii starszych.

Nie wiadomo, czy kolor w tej zabawie sportowej ma znaczenie tylko czegoś w rodzaju jednego z elementów artystycznej bezinteresowności cechującej malarstwo abstrakcyjne, czy też wybierając swoje barwy, zespoły myślą przy tym o określonych symbolach, mających wyrażać pewne idee. W przypadku wspomnianych klubów można

by mówić zarówno o jednym, jak i drugim podejściu. Gracze „Wisły” nosili czerwone koszulki z pięcioramienną białą gwiazdą na piersi, co, oczywiście, nie miało nic wspólnego z jakąkolwiek manifestacją programową czy, uchowaj Boże, ideową tej powstałej w 1906 roku drużyny, było tylko czystym, fantazyjnym pomysłem plastycznym. Natomiast biało-czerwone barwy „Cracovii” sugerowały wyraźnie deklarację narodową zespołu utworzonego nieco wcześniej niż „Wisła”, także jeszcze pod zaborem austriackim.

Z kolei „Jutrzenka”, powstała w 1910 roku, miała barwy klubowe wybrane zupełnie dowolnie i nie wiadomo właściwie, z jakiego powodu takie a nie inne: czarne spodenki i koszulki w biało-czarne pasy. Za to w wypadku „Makkabi”, założonej rok wcześniej, w 1909 roku, sprawa była jasna. Zestawienie kolorów biało-niebieskich jako narodowożydowskich oznaczało świadomą wypowiedź syjonistyczną. Podobnie jak i sama nazwa klubu, która była imieniem bohaterskich powstańców walczących z dawnym Rzymem.

To właśnie decydowało, w którą stronę – pod wpływem nastrojów panujących w naszym domu – przechylały się moje sympatie. Poza ubóstwieniem „Cracovii” – która jako idol najwyższy stała ponad wszelkimi innymi przyziemnymi związkami sportowymi – byłem w ramach rywalizacji „Jutrzenka”–„Makkabi” zdeklarowanym zwolennikiem tej pierwszej. Ale istotniejsze wyjaśnienie przyczyny wymaga skrótownego bodaj sięgnięcia do spraw bardziej zasadniczych i ogólnych, rzutujących jednak również na życie sportowe.